

DZIENNIK WILEŃSKI

Dodatek kulturalno-literacki

Wydawca:
Aleksander Zwierzyński

Najstarszy filolog klasyczny w Polsce

O bchodzony niedawno we Lwowie (27. II.) jubileusz 40-lecia Polskiego Towarzystwa Filologicznego i 80-tej rocznicy urodzin prof. Ludwika Cwiklińskiego przypomniał główne daty z rozwoju Tow. i z działalności jego założyciela. Jest on senjorem profesorów uniwersyteckich; najwcześniej z pośród żyjących rozpoczął pracę na katedrze uniwersyteckiej. Urodził się 17 lipca 1853 w Wielkopolsce, która w ciągu wieków wydała tych wybitnych mężów na różnych polach pracy, że za poetą rzymskim można ją nazwać *magna parens virum*. Po zdaniu w rodzinnym mieście Gnieźnie matury w marcu 1870, a więc w 17 roku życia, odbywał studia akademickie przez rok we Wrocławiu, później w Berlinie i tam w r. 1873 uzyskał stopień doktora filozofii i magistra nauk wyzwolonych, w rok później złożył egzamin nauczycielski.

Od początku r. 1875 pełnił obowiązki nauczyciela w jednej ze szkół realnych w Berlinie. Jesienią tegoż roku wyjechał na studia do Italii. W 23 roku swego życia mianowany nadzwyczajnym profesorem filologii klasycznej w Uniwersytecie lwowskim, otrzymał w trzy lata później katedrę zwyczajną. Już wcześniej, bo w 20 roku życia, dał się poznać w nauce jako autor bystrej dysertacji doktorskiej o chronologii pierwszej części dzieła Thukydidesowego. Praca ta oraz inne odnoszące się do tej kwestii dziś jeszcze zachowały swą wartość.

We Lwowie rozwijał Cwikliński przez ćwierć wieka przeszło bardzo ożywioną i płodną działalność w wielu dziedzinach. Wykształcił wielki zastęp uczniów, z których kilku zajęło katedry uniwersyteckie. We wrześniu 1894 otworzył jako rektor uroczyste Wydział Lekarski, którego dotąd nie było we Lwowie.

Działalność Cwiklińskiego na wielu polach była tak rozległa, że nawet nadszkicowanie jej w głównych rysach zajęłoby zbyt wiele czasu. Żywo zajmowały go różne zagadnienia z dziedziny filologii i archeologii klasycznej. Zapomocą artykułów w prasie codziennej i w czasopismach periodycznych oraz żywym słowem informował szersze warstwy o ruchu naukowym u nas i zagranicą, szczególnie o Herodocie, Homerze i świeżych wykopaliskach na ziemiach greckich, o Atenach, Olimpij, Troi, Mykenach, Tyryusie i w. i. drogich filologom miejscowościach, które poznał podczas podróży naukowej do Grecji z wiosną r. 1878.

W rozległej i owocnej działalności organizacyjnej Cwiklińskiego osobną kartę chlubną stanowi założenie Polskiego Towarzystwa Filologicznego. Dzięki usilnym jego zabiegom, w następstwie zebranych urządzanych w jego mieszkaniu kilka

krotnie od r. 1892, Namiestnictwo zatwierdziło z początkiem grudnia tegoż roku statut i na tej podstawie Tow. Filologiczne ukonstytuowało się na I. Walnem Zgromadzeniu 17. I. 1893. Prezesurę objął prof. Cwikliński.

Stała siedziba Twa była we Lwowie, ale działalność rozciągała się na całą Galicję z W. Ks. Krakowskiem. Już w grudniu 1893 powstało Koło Krakowskie pod przewodnictwem prof. Kaz. Morawskiego.

Organizatorzy Twa dążyli od początku do stworzenia własnego czasopisma filologicznego, któreby skupiało rozstrzelone starania w jedno ognisko i było podniętą ruchu naukowego. Pojawiło się ono z końcem r. 1894. Nazwano je *Eos*, aby z tej „jutrzenki” rozbłysło jak najpełniejsze światło na horyzoncie kultury polskiej. Do r. 1901 włącznie, redaktorem był założyciel i prezes Twa. W związku z Walnemi Zgromadzeniami urządził on corocznie zjazdy filologiczne. W ciągu tych kilku lat wprowadził Tow. Filologiczne i *Eos* na te szlaki, po których pomyślnie zdążać miały do wytkniętego celu, do pogłębienia nauki języków klasycznych, krzewienia miłości i zrozumienia kultury antycznej. Na wystawę Krajową r. 1894 przygotował Cwikliński gabinet archeologiczny i uczestniczył w różnych zjazdach wówczas urządzanych. Jako rektor zasiadał w Sejmie Krajowym i był referentem w różnych sprawach szkolnych, broniąc kilkakrotnie wartości nauczania filologii klasycznej.

Od końca r. 1899, po wyborze na posła do parlamentu austriackiego, przez ważną część czasu spędzał w Wiedniu, dojeżdżając do Lwowa. Z początkiem r. 1902 złożył mandat poselski, gdyż otrzymał kierownictwo sekcji nauki i szkolnictwa wyższego w Ministerstwie Wyznań i Oświecenia. Odtąd musiał na stałe opuścić kresowy gród polski, z którym złączyło go tyle serdecznych węzłów przez 25 lat przeszło owocnej działalności na różnych polach. Uroczyste pożegnał go Uniwersytet Lwowski i Tow. Filologiczne. Na IX Walnem Zgromadzeniu w obecności licznej rzeszy jego uczniów, którzy się zewsząd zebrali, dnia 23. II. 1902 w auli Uniwersytetu Lwowskiego w uznaniu zasług Cwiklińskiego około powołania do życia Twa i założenia czasopisma *Eos* mianowano go pierwszym członkiem honorowym Twa i wręczono mu wydaną przez przyjaciół i uczniów Księgę Pamiątkową.

Założyciel Twa, objawiając wysokie stanowisko w Wiedniu, Cwikliński nie zapominał o swych ukochanych twórcach, otaczał je nadal troskliwą opieką i wspierał ich działalność wyjednywaniem subwencji nawet w ciężkich czasach wojennych. Nowe obowiązki zajęte nim nie pozwoliły mu poświęcać tyle co przedtem czasu pracy naukowej. Nie

ustąpiła jednak wcale jego działalność organizacyjna i społeczna, w której okazał podobną jak we Lwowie ruchliwość. W ciągu swego urzędowania czy to jako szef sekcji, czy jako sternik nawy oświatowej, którą prowadził od czerwca 1917 do końca lipca 1918, był gorliwym rzecznikiem nauki i szkolnictwa polskiego w b. zaborze austriackim. Dzięki jego staraniom powiększono liczbę instytutów, katedr i asysentur na obydwóch uniwersytetach polskich, w Krakowie i we Lwowie, oraz na politechnice lwowskiej; wzniesiono także szereg nowych i przebudowano b. wiele dawniejszych gmachów akademickich. Wystawiono kilka budynków dla szkół średnich i założono wzgl. upaństwowiono szereg zakładów, m. in. gimnazjum w Cieszyńcu i Białej.

Dbał o dobre uposażenie materialne profesorów szkół akademickich, którym dwukrotnie w r. 1917/18 podwyższył pobory. Przeprowadził pragmatykę dla nauczycielstwa szkół średnich wraz z wielu odnośnymi rozporządzeniami. Jako honorowy prezes Zrzeszenia dalszego kształcenia w naukach polityczno-społecznych organizował propagandę dla Polski. Świadczy o tem podróż polityków pod jego przewodnictwem w r. 1912 do Galicji, książka „Gospodarcze stosunki Galicji” i publikacja „Królestwo Kongresowe przed wojną”.

Ponieważ rząd rosyjski nie uznawał świadectw dojrzałości abiturjentów prywatnych szkół polskich w b. Kongresówce, których było przeszło dwadzieścia, Cwikliński postarał się o uznanie tych świadectw za równoważne z austriackimi świadectwami maturalnymi. Wskutek tego setki tych abiturjentów mogły odbywać i kończyć studia w uniwersytetach i politechnikach b. monarchii austr. Za tym przykładem poszły także inne państwa w zach. Europie. Po wybuchu zawieruchy wojennej w r. 1914 towarzystwo Biblioteka Polska w Wiedniu, na której czele Cwikliński stał od r. 1913, było przystanią duchową dla licznych rzesz uchodźców z dzielnic polskich. Jako prezes tej instytucji zorganizował w niej kursy dla młodzieży polskiej w Wiedniu przebywającej.

Będąc także ministrem wyznań, Cwikliński popierał starania biskupów i przeprowadził kongregację z wielką dla duchowieństwa korzyścią.

Gdy spełniły się marzenia szeregu pokoleń i zjednoczona Polska odzyskała byt niepodległy, Cwikliński powrócił z końcem sierpnia 1919 do swoich stron rodzinnych i osiadł w Poznaniu. Z jego inicjatywy powstało tam Tow. Przyjaciół Biblioteki Uniwersyteckiej, którego prezesurę dotąd piastuje. Przyjął przewodnictwo w Kole Poznańskim PTF., i piastował je bez przerwy do początku r. 1932, aż niepomysłny stan zdrowia zmusił do rezygnacji. Gdy z końcem r. 1928 zorganizowano we Lwowie Za-

radz Główny, wówczas przez aklamację wybrano prezesem PTF. prof. Cwiklińskiego. Mimo sędziwego wieku, dotąd szczęśliwie i chlubnie kieruje nawą filologiczną.

W r. 1929 organizował on zjazd klasycznych filologów słowiańskich, a dwa lata później współdziałał w zorganizowaniu takiegoż kongresu w Pradze Czeskiej, uczestniczył w nim jako członek prezydium honorowego i wypowiedział dłuższe przemówienie imieniem Polskiej Akad. Umiej., Twa Naukowego w Poznaniu i PTF. jako jego założyciel i obecny prezes.

Od powrotu do wolnej Polski poświęca też więcej czasu niż poprzednio pracy naukowej, przede wszystkim w dziedzinie humanizmu polskiego, którym obok filologii klasycznej zajął się wcześniej, zaraz po objęciu katedry we Lwowie. Wówczas już wziął udział w pomnikowym wydawnictwie zbiorowym *Monumenta Poloniae Historica*. Z jego inicjatywy Akademia Umiejętności zaczęła wydawać *Corpus antiquissimorum poetarum Poloniae Latinorum usque ad Joannem Cochranowium*. On bowiem na Zjeździe historyczno-literackim im. Jana Kochanowskiego w Krakowie w r. 1884 wygłosił referat „O sposobie wydawania poetów polsko-lacińskich” i podjął się wtedy przygotowania edycji wszystkich dzieł swego „krajana”, Klementa Janickiego. Była to praca całego życia, zakończona w r. 1930 pomnikowym wydaniem tego poety.

Wybitne zasługi Cwiklińskiego w wielu dziedzinach pracy naukowej, organizacyjnej i społecznej znalazły wcześniej uznanie w udzielonych mu zaszczytach. Jest członkiem czynnym i honorowym wielu towarzystw naukowych w Polsce i zagranicą, honorowym doktorem kilku wyższych uczelni, honorowym profesorem na Wydziale Humanistycznym Uniwersytetu Poznańskiego. Jego berliński doktorat filozofii został w 60-tą rocznicę przez tamtejszy Wydział Filozoficzny odnowiony z datą 22. XII. 1933.

Założyciel Polskiego Towarzystwa Filologicznego z zadowoleniem spoglądać może na przeżytą dotąd drogę życia w przeświadczeniu, że dobrze spełniał obowiązki wobec nauki i Ojczyzny, którym poświęcił ofiarnie tyloletnie trudy. Wytycznymi jego owocnej na wielu polach działalności było i jest dobro nauki polskiej i Ojczyzny naszej. Trwałymi zgłoskami zapisał się w księdze zasłużonych dla rozwoju kultury polskiej.*)

espe.

*) Działalność L. Cwiklińskiego omówił Stan. Pilch w rozprawie, drukowanej w Kwartalniku Klasycznym 1933, zeszyt 4 ss. XV—XLIV, z okazji 80-lecia urodzin jubilata i diamentowych godów z nauką.

H. Daumier - twórca realizmu

Zaledwie ośm lat życia liczył sobie Honorjusz Daumier, kiedy w roku 1816 przeniósł się wraz ze swymi rodzicami z Marsylii do Paryża.

Te pierwsze jednak lata dzieciństwa pozostawiły niezatarte wspomnienia w duszy i umyśle dziecka, rozwijającego się pod słonecznym pogodnym niebem, wśród wąskich uliczek starego portu, rojących się od barczystych marynarzy, smukłych rybaków i wszelakiej biedoty i halastry portowej.

Ową słoneczną pogodę uwiózł w swym sercu do Paryża — i nie pozbył się jej do końca swego długiego, pracowitego żywota.

A życie w Paryżu nie układało mu się zbyt lekko; trzeba było wziąć się do pracy zawczasu. Zaczyna tedy Daumier swą karierę życiową jako chłopak do posyłek w kancelarii adwokackiej; — „awansuje“ wkrótce na praktykanta w księgarni. Tam znajduje pierwszą sposobność do zetknięcia się ze sztuką: przegląda ilustracje, albumy, reprodukcje obrazów i rzeźb antycznych. Wkrótce też odnajduje swą właściwą drogę. Szkicuje ołówkiem podobizny swych znajomych, przyczem rysunki te wykazują odrazu wybitne zacięcie karykaturalne.

Ale rysunek mu nie wystarcza. Najodpowiedniejszym i najpodatniejszym materiałem staje mu się glina, w której rzeźbi postacie czy popiersia osób. Obdarzony wyjątkowo bystrym zmysłem obserwacyjnym, nadaje tym postaciom pewne charakterystyczne rysy, mające podkreślić dodatnie czy ujemne cechy charakteru danej osoby. Takie postacie dopiero, w własnym, swoistym ujęciu przenosi następnie na papier czy płótno.

Tak więc rzeźba toruje pomału drogę do malarstwa.

Ale Daumier zdobył sobie za życia inny tytuł do sławy. Współcześni nie tyle cenili w nim malarza, jak raczej karykaturzystę.

Pierwsze karykatury polityczne Daumier'a pojawiły się w roku 1830. Były oryginalne, śmiałe, o wysokiej wartości artystycznej. Daumier dziecko ludu, chłoczek bezlitośnie wszystkie wady, występki i śmieszności społeczeństwa, szukając materiału zarówno w parlamencie, jak na giełdzie czy w kuluarach Pałacu Sprawiedliwości, czy wreszcie w świecie politycznych awanturników.

Rysunkami swemi zasila tygodnik satyryczny „Caricature“, a od roku 1832 jest współpracownikiem wielkiego dziennika „Charivari“.

Te właśnie karykatury, te setki doskonałych rysunków satyrycznych, sprawiły, że Daumier stał się wkrótce głośnym i znanym. Równocześnie jednak przyłgnęła do niego etykieta „karykaturzysta“, — etykieta krzywdząca wielkiego malarza, którego wartość i znaczenie oceniono należycie dopiero w jakimś dwadzieścia lat po jego śmierci.

Daumier pracował w drukarni i litografii. Tam też spotkał go raz pewnego Balzac, który oglądając jego prace, oświadczył: „Ten chłopak ma w sobie coś z Michała Anioła“. Autor nieśmiertelnej „Komedii ludzkiej“ miał rację: coś z geniusza Michała Anioła tkwiło w tym młodym chłopcu, który potrafił równocześnie być równie dobrym litografem i rysownikiem, jak akwarelistą, karykaturzystą, malarzem i rzeźbiarzem. Coś genialnego tkwiło w tym samouku, co

ani sam nie był nigdy uczniem jakiegokolwiek szkoły malarskiej, — ani też nie pozostawił po sobie żadnej „szkoły“, — za wielkim był bowiem na to, by mógł znaleźć godnych siebie uczniów czy choćby naśladowców.

A przecież Daumier uchodzi słusznie za twórcę realizmu w malarstwie francuskim. On pierwszy zdołał z całym realizmem odtwarzać ludzi i obyczaje współczesne, nie z tym suchym, bezdusznym obiektywizmem, — ale z pewną zasadniczą tendencją socjalną. Potrafił wczuć się w tajniki duszy ludzkiej, odczuć ból i nędzę biedaków, wydziedziczonych, — przeciwstawiając im groteskowe niemal postacie wyzyskiwaczy: przekupnych polityków i sędziów, rycearzy przemysłu, szarlatanów-lekarzy. Kiedy zaś maluje postacie z ludu, przystępuje do pracy z miłością; wówczas karykaturzysta ustępuje miejsca arty-

ście, który z ludu tego wyszedł, lud ten kocha i rozumie.

Jakkolwiek, jako rzeźbiarz, musiał doskonale znać anatomię i budowę ciała ludzkiego, — to jednak w obrazach swych uważa Daumier tę kwestię raczej za drugorzędną. Idzie mu przede wszystkim o wywołanie odpowiedniego nastroju, — cały nacisk kładzie na mimikę i plastyczność-malarski wzajemny stosunek postaci obrazu.

Drugim, niemniej ważnym dla niego elementem jest światło. Elementem żywym, ruchliwym, płynnym. Operuje nim tedy dyskretnie i niesłychanie sugestywnie. Unika ostrych konturów, dostosowuje znakomicie koloryt do tematu obrazu. Więc kiedy daje scenę z rewolucji, — w obrazie przeważają tony ognisto-żółte, we wnętrzach natomiast dominuje tło szaro-błękitne.

Ten nowy rytm w grze światła, — to rzecz, stworzona we Francji przez Daumiera, a doprowadzona do wyżyny prawdziwego artyzmu.

„Impresjonistycznymi stenogramami“ nazywa jeden z krytyków obrazy Daumier'a, uważając go — i słusznie — za prekursora nowoczesnego impresjonizmu w sztuce malarskiej.

W Muzeum Oranżerii w Paryżu urządzono obecnie zbiorową wystawę dzieł Daumier'a, której uzupełnieniem jest wystawa jego prac litograficznych w Bibliotece Narodowej.

Obie wystawy cieszą się olbrzymim powodzeniem. Pięćdziesiąt pięć lat upłynęło już od śmierci wielkiego artysty. Mimo to jego karykatury polityczne nie straciły nic na aktualności, — zwłaszcza w dzisiejszej Francji, żyjącej pod wrażeniem skandalicznej afery Stawiskiego i jego bandy... A obrazy Daumier'a płaci się dziś poprostu na wagę złota... (R.)

Plotki o Estonji

Narody północy rozmiłowały się w lwach. Nie wiem jaki urok ma dla nich ten egzotyczny kot, — może siła kontrastu temperamentów, może megalomania, a może poprostu brak jakiegokolwiek zwierzęcia, które mogłoby służyć do celów heraldycznych. Cóż takiego może dać na przykład Łotwa do herbu? Jest tam trochę jeleni, parę wilków uciekinierów z Sowietów, no i kupa flader. Więc dalej — do lwa, jednego wzięła Finlandja, jednego Łotwa, a Estonja na wszelki wypadek wzięła aż trzy. Niestety miejsca dla wszystkich na tarczy nie starczyło, ale znalazła się na to rada; stanęły jeden nad drugim. Do tego oto kraju trzech lwów wybrałem się w odwiedzinach z miastą jednego lwa.

Przejechałem całą Wileńszczyznę, która pięknie rozłożona na 700 km, toru kolejowego, staje się nieco nużące i pojechałem do Rygi. Granica łotewska była punktem w którym pożegnać musiałem luksus drugiej klasy pociągu pociągów pociągów. Złe się wyrażam, — nie osobowo, lecz pociągów pociągów, jak mnie informowano, niema tu wogóle osobowych a jedynie pociągów.

Stolica Łotwy jest wcale miłym miastem o zachodnim charakterze i wschodnich fizjognomjach bardzo tu licznej mniejszości izraelskiej, co stwarza dla przybysza z Polski zupełnie swojską atmosferę. Dopełniłem w pełni nakazu etykiety turystycznej, zwiedziłem całe miasto, a więc wieże radiowe, które dorównują wzrostem lwowskiemu, mimo zużycia jednej trzeciej materiału, jedyną basztę, spełniającą rolę zabytków historycznych, parę kościołów i jedno kino o nudnym programie, a interesujących napisach.

Wypożyczalnie filmów licząc się z wielojęzyczną publicznością, powprowadzały do zagranicznych dźwiękowców napisy w języku ojczystym i rosyjskim. Pech chciał, że był to film angielski, skutkiem czego dodano napis niemiecki.

Filmem odpowiednio przygotowany poszedłem spać do wagonu. Śpiąc przejeżdżając estońską granicę, śpiąc przeciwnie cały kraj, dopiero gwar zwiększonego ruchu podmiejskiego budzi mnie. Senne spojrzenia na krajobraz nie gotuje żadnej niespodzianki, podobnie jak u nas na Wileńszczyźnie, to spostrzeżenie uwalnia mnie od nudnego opisu. Rosną i ścieśniają się budynki, pociągami wstrząsają coraz częstsze styki zwrotnic. Zbliża się miasto Tallin.

Szablony se zwykłe wyjścia z dworców, lecz tu nawprost niego najwspaniał-

sza żywa reklama piękna kraju. Na szarej skale ponad zielonością wałów, mury zamku szare od mchu pod czerwonymi okapami dachów. Na wysokim walcu wieży niebiesko-czarno-biała flaga, siedziba rządu. Stare miasto nadmiarem pięknych zabytków gotyckiego i nordycznego stylu, którym wieki są latami, wyczerpuje szybko zdolność ciągłego podziwiania.

Oswajam się z murami w obronnych wieżyczkach i kinami w czigodnych kamienicach. Tylko zewsząd widoczna igła wieży kościoła św. Olafa, z której szczytu widać Helsinki, przypomina ciagle, że jestem w Estonji. Na południe od starego miasta wyrasta część nowoczesna, której banalność urozmaicają bezpretensjonalne pomniki na skandynawską modłę, przedstawiające nie bohaterów narodowych, ale zwierzęta lub grupy nie mające historycznych pretensji: A dalej rozległa dzielnic domów, a raczej domków, mieszkalnych, drewnianych, lakierowanych na zielono lub brązowo. Małe, ciepłe, przytulne, wciąż nasuwają swym materiałem perspektywę pożaru, od którego mieszkańcy papierem wyklejonym wewnątrz jakos umia się zabezpieczyć.

Mieszkam w takim domku, mówię „Terehomikut“ i „Hijatajga“ co na polskie tłumaczy się zwyczajnie „Dzień dobry“ i „Dowiedzenia“; najwięcej jednak mówię po niemiecku, językiem tym każdy tamtejszy inteligent włada doskonale. Niema zaś estończyka, któryby nie umiał po rosyjsku — zabytek z czasów niewoli. Wogóle niemczyzna należy tam do dobrego tonu. Cały naród cierpi wyraźnie na kompleks niższości wobec zagranicy, co specjalnie ostro zarysowuje się w stosunku do Niemców. W życiu codziennym jest duży kult dla kultury i techniki niemieckiej, który obecnie przesuwają się powoli w stronę Polski. Nie należy się dziwić temu stosunkowi.

Naród estoński jest narodem chłopskim bez własnej tradycji i arystokracji, był zawsze pod obcym panowaniem, przede wszystkim niemieckim i teraz zyskawszy niepodległość nie może odrazu stworzyć własnej elity intelektualnej, ani własnej dumy narodowej. Znajdując się między sowieckim młotem a niemieckim kowadłem, doszedł do wniosku, że oparcie się i związanie jak najściślej z Polską zdoła mu zapewnić niezależność polityczną i dziś zwraca się, w naszą stronę z serdeczną przyjaźnią, której byłem stale świadkiem. Inna rzecz, że w pierwszej chwili nie potrafiłem tego ocenić, przyzwyczajony do szerokiego gestu polskiej gościnności, nie znającej miary, nie mogłem pojąć skromności z jaką mnie podejmowano.

Dopiero później zrozumiałem, że budżet taamtejszego obywatela obraca się w granicach o połowę ciśniejszych niż u nas. Płace i zarobki ludzi z wyższym wykształceniem są niesłychanie niskie, wystarcza rzec, że premier (głowa państwa) pobiera 900 zł. pensji. Siła kupna pieniądza jest niewiele wyższa niż u nas. Mimo tego czytelnictwo gazet jest 8 razy większe niż w Warszawie, mimo to Tallinn (130.000 mieszkańców) posiada 20 kin, a ilość aut trzykrotnie wyższa (licząc procentowo) niż w Polsce. Zato robotnik ma się lepiej, natomiast bezrobocie jest bardzo duże. Szczególnie przykre jest ono wśród ludzi z wyższym wykształceniem, jest ich bowiem procentowo dwukrotnie więcej, aniżeli w Polsce. Masa ta niezadowolona z warunków życia, z niskich płac z wielkiego zsocjalizowania kraju, przerzuca winę w pierwszym rzędzie na demokratyczne rządy i dąży do zmiany konstytucji i władz na rzecz faszystowskiej partii byłych bojowników ojczyzny, w której radykalny programie widzi dla siebie i państwa lepszą przyszłość.

W październiku 1933 r. odbyły się wybory do nowego parlamentu, w którym żywił radykalny uzyskał pewne wpływy, ale nie w tym stopniu jaki byłby rzeczywistym wykładnikiem nastrojów. Toteż ostatnio gazety pełne są wieści z tego małego kraju. Generał Laidoner skutecznie przeciwdziałał projektowanemu zamachowi stanu przez komatantów pod wodzą gen. Larki i adw. Sirki. Przesunięcie się rządów w ręce tych ostatnich może wywołać dość nieoczekiwane poważne konsekwencje dla całokształtu stosunków politycznych w Europie. W ich szeregach są bardzo popularne hasła oparcia się o potęgę Niemiec, w czym widzą dla siebie podniesienie stopy życiowej i stanowiska politycznego. Powiadają, wprawdzie, że gdy staną się odpowiednio silni, będą mogli zarówno odrzucić niemiecką opiekę jak i stać się poważnym przeciwnikiem dla Sowietów. Trzecia Rzesza przez usta Hitlera głosi coraz wyraźniej hasła ekspansji żywiołu niemieckiego na tereny Rosji. Estonja i Łotwa są przewidziane jako bazy operacyjne i stąd płynie groza konsekwencji dla Europy w razie wybuchu (zaburzeń rewolucyjnych w Estonji. Z poważnej sytuacji zdają sobie dobrze sprawę Sowiety, toteż na terenie Tallina wręcz gorączkowa podziemna akcja tych dwu mocarstw. Co z tego wyniknie — zobaczymy.

Nie wszystkich jednak interesują problemy społeczno-polityczne tego niewielkiego, bo 1.300 tysięcy mieszkańców liczącego kraju. Każdy natomiast z zacięciem wieniem posłucha, gdy mu powiem, że ko-

bieta estońska jest wyjątkowo piękna. Mimo pochodzenia ugro-fińskiego, a więc laponoidalnej przynależności antropologicznej, naród estoński na przestrzeni wieków zagubił wszystkie cechy mongolskie, prócz języka i mieszkańcy przedstawiają obecnie czysty typ nordyczny, smukły, blond włosy, niebieskości, o gładkiej bezwłoszej cerze. Niemieccy rasiści powinni wynajmować tam sobie okazy do propagandy nordycznej rasy u siebie w kraju, gdzie jak wiadomo, mają ich zaledwie 30 proc. a więc mniej niż Polska (35 proc.).

Jako Polak, a więc przedstawiciel państwa o wielkiej kulturze, byłem mile widziany, zwłaszcza że Estonki spodziewały

się znaleźć u Polaków temperamentu co najmniej południowy.

Lwów jest od Tallina równie daleko na południe, jak Rzym od Lwowa; to wyjaśnia przyczynę tego małego nieporozumienia, jakie wynikało z obliczeń czysto geograficznej natury.

Inna rzecz, że panowie w tym kraju góraci krwią wcale się nie odznaczają. Nigdzie nie widziałem tak mało parok po parkach i tyłach samotnych pań. Chodzi sobie taki pan po pięknej plaży Piryty (koło Tallina) i nawet nie spojrzy na złotobronzowe cuda, wkoło niego powabnie porozkładane na piasku. Idzie obojętny i zimny lub siedzi w wodzie równie jak on sam

zimnej. Nawet na dancinгах gdzie obrotowa podłoga upraszcza ruch par tańczących prawie wyłącznie walców — pan taki pozostaje nieczyły, ginie zresztą w rzeszy highlife'u rekrutującego się z różnych dygnitarzy obcego autoramentu, których silna waluta stawia na wyższym poziomie życia.

Wiele jeszcze plotek i nieplotek można by snuć o tym kraiku, czy to o mowie, która ma 24 przypadków, a ani jednego rodzaju, czy o Dorpacie (teraz Tartu) słynnym u nas z uniwersytetu tam zaś, z tanich jarzyn — i wiele innych, — ale czas kończyć, bo i tak rozpisalem się nadmiernie.

Zbigniew Schnelger.

Góral amerykański jest tak mało inteligentny, że człowiek nie daje wiary własnym uszom. Przykład: Pawien góral, w starszym wieku i trochę inteligentniejszy, słyszał coś niecoś w młodości o historii. Dowiedziawszy się, że gości u siebie ludzi z Illinois, jest rozczulony i pyta się, jak też wygląda staruszek Lincoln i czy bardzo się postarzał od czasu, kiedy „robiono z niego tę ostatnią odbitkę” (fotografję), którą podarował mu jeszcze w szkole nauczyciel. Gdy mu wytłumaczono, że Lincoln już dawno, dawno nie żyje, okazał, tak szczerzy żal, że nikt nie mógł się nawet roześmiać.

Stosunki zmieniłyby się, gdyby rząd postępował z tymi góralami podobnie, jak z resztkami Indian, wprowadzając przymus szkolny. Napewno jednak nie pozwalaliby swych dzieci zamykać w zakładach rządowych. Indianin też jest wolnym Amerykaninem, ale od 8-go do 16-go roku życia musi przebywać w jednym z takich zakładów utrzymywanych przez rząd w kilku Stanach, gdzie zachowała się jakaś taka liczba Indian, ażeby nabrać szumnie tak nazwanej kultury. Ta młodzież jest łajdana, wbrew woli szorowana, (Indianie są bardzo brudni), i nabiera nienigieny, z którą nie zawsze jest jej do twarzy. Uwierzymy naszego górala w frak, a napewno będzie się czuł w nim lepiej, niż taki Indianin w koszuli „khaki” (tj. koloru zgnilo-zielonego). Może Amerykanie myślą, że kolor takiej koszuli przypominał będzie Indianinowi ukołchane przez niego lasy?

Dziewczynki śliczne, orle okie, które wyglądałyby przepięknie w stroju swego plemienia, wyglądają dość brzyko w perkalowych sukienkach, ciemno-niebieskich w białe paski. I widać, jak bardzo nie lubią tych sukienek. Na lekcji siedzą z tępych wyrazem twarzy i bawią się pod ławkami. Z oczu bije jakaś nienawiść. Pałają zemstą do swych wychowawców. Jeżeli młodzi Indianie widzą, że nauczyciel jest im życzliwy, są dla niego dobrzy i starają się pojmovać to, co im mówi. Nauczyciele często jednak brzydzą się nimi i aby ich nie spoufalić postępują z nimi od samego początku bezwzględnie. Uлюбioną lekturą młodego Indianina jest *The Song of Hiawatha Longfellow'a* i zawsze na lekcji angielskiego, gdy czyta się „Hiawathę”, panuje cisza i zainteresowanie.

Po za czytaniem, pisanem i rachunkami, muszą Indianie uczyć się robót ręcznych np. stolarstwa. Dziewczynki, wyćwiczone już w rodzinnym wigwamie wyrobiają istne dzieła indjańskiej sztuki. Te robotki sprzedaje się później jako oryginały po dobrych cenach. Pieniądże składa zarząd szkoły na książeczkach oszczędnościowych i po ukończeniu edukacji mali Indianie je otrzymują. Można przejechać całą Amerykę wzdłuż i w szerz, podziwiać postęp i udoskonalenia techniczne, ale serce stracić dopiero gdzieś w Wisconsin Dells (tj. w rezerwacji dla Indian). Tam naprawdę jest pięknie. Jeziora, lasy i prawdziwi zgodni z tradycją Indianie. Można śmiało powiedzieć, że w całej Ameryce jedni Indianie mają jeszcze dużo poczucia piękna. To piękno jest ich własne, nie importowane, a kultura wewnętrzna. Wigwam może być brudny, ale piękne są dusze.

Tak jak uprzywilejowany biały skóry Amerykanin kocha swój luksusowy apartament lub rodzinny „cottage” tak Indianin kocha swój wigwam, lasy, śmiejące się wody i swobodę. Łatwo to zrozumieć. Wolność Tomku w swoim domku — a przecież Ameryka niegdyś była domem Indian.

E. K.

„Wolni” Amerykanie

Nie ma dzisiaj Europejczyka, któryby nie wiedział, jak żyje taki Mr. Rockefeller, co jada, jak żyją wybrańcy słynnego klubu „Błękitnych czterystu”, a jak przeciętni Babbitowie, wiemy, jak żyli czerwono-skórzy Indianie, ale mało kto wie, że jeszcze dzisiaj w XX wieku, wieku techniki i postępu, żyją w Ameryce ludzie zupełnie prymitywnie i o bardzo skromnych wymaganiach. Są to górale z Kentucky, którzy kpią sobie ze wszystkich mieszkańców „słodkiego kraju wolności” (the Sweet Land of Liberty), bo oni jedni czują się naprawdę wolnymi, i nie dadzą sobie tego wyperswadować. Są święcie przekonani, że Statuę Wolności wystawiono w najbliższym nieodpowiednim miejscu. Według nich powinna była stanąć gdzieś na szczytach Kentuckich gór i spoglądać w dół na swe wolne dzieci, a nie w porcie Nowojorskim, gdzie napewno któregoś dnia „rozwsiećceni” „ludzie niewoli” (ludzie pracujący zawodowo) stracą ją w morze, bo jest abstrakcyjnym symbolem bez odpowiednika w rzeczywistym życiu.

Górale ci, nie mogą pojąć, jak ludzie którzy wstają o oznaczonej przez kogoś innego porze, i zawsze się śpieszą, aby wypełnić narzucony sobie program, mogą zwać się wolnymi. Dla górali z Kentucky pojęcie wolności znajduje najwyższy wyraz w lenistwie.

Larksviev Kentucky jest to osiedle położone na dużej polance, a złożone z niewielkiej ilości log cabins tj. chatki zbudowanych z okraglaków. Wnętrze chatki jest niebielone, ściany obwiedzione skórą z zajęcy i innego drobnego zwierza. W rogu obszernej izby znajdują się otwarte ognisko, nad którym na ścianie wisi 4—5brudnych garnków. Obok tych wiszą rzędami miski i kubki, po których ilości można poznać ilość członków rodziny. W izbie znajduje się tylko jedno duże łóżko, na którym śpią: ojciec, matka i najmłodsze dzieci. Z prętów zrobiony stół i krzesła oczekują miłe widzianego gościa. Nigdzie nie widać robót ręcznych, ani nie znać ręki kobiecej. Na honorowym miejscu w chacie wiszą fajki członków rodziny. Fajki damskie zaopatrzone są w dwa nie inicjały, czasami zdobną je oryginalne wzorki, które świadczą o większej lub mniejszej fantazji artystycznej mężczyzny, który je fabrykuje, dla swoich wybrańek. Każdy młodzieniec poświęca swoje wolne chwile na zrobienie fajki dla upatrzonej przyszłej towarzyski życia. Jest to w zwyczaju i nie można sobie wyobrazić nic bardziej pomysłowego, niż taki ślubny podarek. Coprawda sami wytwórcy nie oceniają, może wartości takiego podarku, jak ocenia ją stary Daniel Boone Rooks, który cieszy się największym szacunkiem całej kolonii, umie czytać i uchołdzi za doświadczanego podróżnika. (Był bowiem raz w Louis ville Kentucky). Zwykły on mawiać: Tak, jak poznaje się po chmurach, że będzie deszcz, tak ja poznaję usposobienie małżonki po fajce. Kiedy jest zła, i milczy, (te chwile bywają bardzo rzadkie), a fajka wisi pod miską od wschodu słońca do połowy jego drogi ku wieczorowi, to wiem, że coś jest z nią nie w porządku. Górale nie używają ze-

garów, a w porze dnia orjentują się po słońcu. Połowa drogi ku wieczorowi oznacza południe]

Żona zagniewana na męża, nie tknie fajki, zrobionej przez niego, raczej pożyczę innej od syna, a jeżeli odznacza się silną wolą, to wogóle nie będzie paliła. Można sobie wyobrazić, z jaką uciechą mąż po przeminięciu burzy pali razem z żoną taką fajkę pokoju. (peace pipe).

Właściwie nie można dokładnie powiedzieć z czego ci górale żyją. Hodują najwięcej tytoniu, ich menu jest skromne. Ryby z górskich strumieni, placki z kukurudzy, na melasie tynie, (specjalny gatunek, zwany pumpkins, suszone leśne owoce na zupy, drobne ptactwo, to wszystko, w co zaopatrzone są ich spiżarnie. Dostają najrozmaitsze konserwy z miast, lecz tylko na Boże Narodzenie. Ciekawe jest, że nie zdzierają z turystów. Przeciwnie, nie biorą nic za gościnę. Są na tyle sprytni, że wiedzą, iż lepiej się opłaci, gdy gość z własnej dobrej woli zrobi im prezent, który zawsze będzie wart bez porównania więcej, niż mogliby żądać za skromny posiłek. Żaden turysta nie odejdzie bez skosztowania wszystkich potraw, bo ktośby i żniej uwierzył, że przejechał wzdłuż i w szerz „kraj niebieskich traw”. Poza tem turyści zabierają z sobą różne pamiątki z chat tych górali. Raz pewnej wdołwie z Kentucky skradziono fajkę i zaraz potem góralka ta umarła. Panują z tego powodu różne przesady. Podróżni są zwykle zaopatrzeni w pościel. Głóż gość winien zostawić po sobie prześcieradło, na którym spał, będąc w gościnie. Nie każdy chce się na to zgodzić. Wolałby zo-

stać tennissowe spodnie, lub srebrną pierścionkę. Mimo woli turysty jedno prześcieradło zawsze jakimś cudem zostaje w Kentucky. Góral nie zazdrości turyście niczego z wyjątkiem zapasów konserw z fabryki Libbys i whiskey z etykiety fabryki kanadyjskiej. Dorastająca młodzież góralska nie zazdrości młodzieży miejskiej, która musi pracować w biurach lub uczyć się. Rząd coprawda wysyła do osad góralskich nauczyciela, ale nie można się dziwić, że tak niewielu górali zna się na znakach „białych niewolników”. Nie chcą się uczyć. Młodzi mówią: Do wielkich miast, gdzie trzeba pracować ciężko od rana do nocy, nie pojedziemy. Od tego są dagoes, którzy do nas przyjeżdżają, z wody (myślą o immigrantach). Gdy nasi starzy pomrą, my zajmiemy ich miejsce i będziemy spali w miękkich łóżkach jedli lepsze potrawy i popijali, przyglądając się zabawom młodych. Najbardziej energiczny nauczyciel pakuje po krótkiej próbie manatki i ucieka, bo młodzież jest dzika i niesforna. Szesnastolatki które się jeszcze nie zdążyły nauczyć czytać, płatają nauczycielowi bardzo niesmaczne figle. Nikt nie uznaje dzwonka szkolnego.

Winę za to ponoszą starsi, którzy uczą młodych gardzić ludźmi, z miast dlatego, że sami czują się wyższymi. Nie będziemy słuchać ani zegara, ani dzwonka ani żadnej innej trąbki — brzmią słowa ich ulubionej piosenki. I naprawdę wogóle tylko dlatego, że zmusza ich do tego ich pan, żolądek, chce się im wstawiać wcześniej i pracować — lecz tylko tyle, ile wystarcza, aby od jednego zbioru do drugiego wyżyć.

Losy pałacyku królowej

Na prawym brzegu Tamizy, w południowo-wschodniej części Londynu wznosi się pałacyk, zbudowany niegdyś przez Karola I. dla żony, Henrietty Marji. Szło o bliskość rzeki w czasie letnich upałów. Budowla nie rzuca się w oczy, gdyż sąsiaduje z olbrzymim Greenwich Hospital, wystawionym w kilkadziesiąt lat później jako przytułek dla inwalidów marynarki przez słynnego architekta Sir Krzysztofa Wrena — frontowa kolumnada gmachu ma długość 60 metrów. Jak wiadomo, Henrietta Marja nie długo się cieszyła swą letnią rezydencją. Z chwilą wybuchu wojny domowej popłynęła do Francji, skąd już nie powróciła, a mąż jej zginął na rusztowaniu. Pałacyku używano jeszcze tylko przez jakiś czas za restauracji. Później obrócono go na szkołę marynarki i przed bramą stał model korwety ze wszystkimi linami, służący do ćwiczeń. Po jakimś czasie szkoła przeniosła się gdzieś indziej i pałacyk zmienił się w rodzaj składu starych mebli i obrazów, zresztą wartościowych. Miał kto go zwiadać.

Większe zainteresowanie budziło Królewskie Muzeum Marynarki, pomieszczone w budynku, zwanym The Painted Hall, tj. malowanym zamkiem, ponieważ wewnątrz przyozdobił alegorycznymi freskami Sir James Thornhill, jeden z praocjów malarstwa angielskiego, a właściwie pierwszy naprawdę wybitny malarz, który działał na ziemi angielskiej i był

Anglikiem. Zdobił on gmach z końcem XVII w., za wspólnych rządów Marji i Williama III., to też tematem fresków jest apoteoza tej pary królewskiej. Sala stanowiła niegdyś refektarz inwalidów, potem stała pustką. Wreszcie umieszczono tu zbiór zabytków i pamiątek, związanych z dziejami floty angielskiej, przede wszystkim pamiątek po Nelsonie, których część, ocenioną na 5000 funtów szterlingów, skradziono w r. 1904, ale prawie w całości odzyskano w r. 1908, mianowicie znaleziono we wnętrzu detego instrumentu muzycznego, oddanego na przechowanie na stacji kolejowej i nieodebranego. Sala jest przeładowana eksponatami, licznie nagromadzone obrazy okrętów i bitw morskich przysłaniają freski Thornhilla, coprawda mające więcej wartości historycznej, niż artystycznej, — wogóle zwiedzający odnosi wrażenie chaosu i czuje się raczej jakby w składzie rupiec, niż w muzeum.

Obecnie postanowiono zarządzić temu stanowi rzeczy i, jak zwykle dzieje się w Anglii, znalazł się hojny ofiarodawca. Pałacyk królowej Henrietty Marji, gruntownie odrestaurowany, stanie się centrum nowej budowli do której przeniosą Królewskie Muzeum Marynarki. Koszty, obliczone na 29.000 funtów (blisko 900.000 zł.), poniesie Sir James Craig, a premier oświadczył przed kilku dniami oficjalnie, że państwo przyjmuje tę ofiarę.

A. E.



Szybko — bezpiecznie —
wygodnie — tanio —
oto dewizy
Polskich Linji
Lotniczych

Rosjanie i sprawy rosyjskie w literaturze Polski Odrodzonej

Jak Polska i Polacy w literaturze rosyjskiej, tak samo Rosja i Rosjanie w polskiej — jedno z najpoważniejszych zajmujących miejsc. W twórczości Paska, Mikiewicza, Słowackiego, Krasińskiego i Pola, Crzeszkowej i Prusa, Zapolskiej i Żeromskiego, raz po raz napotykamy na postaci Rosjan lub na interesujące i emocjonujące autora sprawy, związane z Rosją, jej stosunkiem do Polski, do Polaków — zupełnie tak samo, jak w twórczości Puszkina, Gogola, Zagoskina, Mordowcewa, Turgieniewa, Dostojewskiego i Tolstoj. Rosja roi się od Polaków i spraw polskich. Zasadniczy stosunek obu literatur do tematu (w polskiej: do Rosji i Rosjan; w rosyjskiej: do Polski i Polaków) jest wręcz, często nawet niesprawiedliwy, zawsze jednak dający się wytłumaczyć nastawieniem psychicznym, a gdy chodzi o literaturę polską — i momentem obronnym, instynktem samozachowawczym.

Po odzyskaniu niepodległości zmienia się dosyć radykalnie kąt widzenia literatury polskiej w stosunku do Rosjan i spraw rosyjskich: rozbrzmiewają, wprowadzając jeszcze echa goryczy, nienawiści do zaborcy, pogardy dla jego „azjatyizmu“ i poczucia własnej narodowej wyższości kulturalnej, poczucia, które przez lat dziesiątki było jedynym ratunkiem przed wynarodowieniem, — tu i ówdzie jednak z początku słabo, potem coraz głośniejsze rozbrzmiewają już i inne tony, nowe tony, które uderzają zarówno w literaturze publicystycznej, jak i pięknej — w twórczości Żeromskiego i Struga, Kossaka-Szczuckiej i Choynowskiego, Kleszczyńskiego i innych.

Na czemże polega istota tego nowego tonu? Oto na wzrastającym wciąż u pisarzy poczuciu narodowej mocy, poczuciu, że Polska już jest wolna i niepodległa, odzyskała byt państwowy i jest siłą realną, posiadającą już inne środki do obrony, niż literatura. Z drugiej strony Rosja przestała być śmiertelnym wrogiem, potężnym groźnym ciemniem, — i pisarz polski może ustosunkować się do niej i do wszystkich związanych z nią problemów już spokojnie, obiektywnie: traktować zagadnienia rosyjskie zupełnie identycznie, jak wszystkie inne tematy.

W okresie wojny i rewolucji pisarzy nasi mieli sposobność lepiej i gruntowniej poznać Rosję i istotę psychiki i kultury rosyjskiej, tajemnicę ducha rosyjskiego, jego zagadkę... — niż ich — wielcy nieraz — poprzednicy. Wielu autorów spędziło czas dłuższy w niewoli rosyjskiej i to takich autorów, którzy przed wojną bądź wcale nieznani, bądź rozpoczynający dopiero działalność literacką — w Polsce Odrodzonej wybili się na czoło tych czy innych działów literatury pięknej.

Dużo pisarzy — Polaków miało możliwość nacznie lub na podstawie najbliższego kontaktu z naocznymi świadkami: zapoznać się z epokowym, potężnym, wstrząsającym zjawiskiem rewolucji rosyjskiej.

Zjawisko to znalazło swe odbicie w całym szeregu mniej lub więcej wybitnych dzieł literackich — w pierwszym rzędzie nowel i powieści, na których człoł wybijają się „Książka na wzgórzu“ Małaczewskiego, „Przedwiośnie“ Żeromskiego, i „Mogila nieznanego żołnierza“ Andrzeja Struga.

W stosunku Małaczewskiego do Rosjan przebiega się jeszcze ten dawny „antymoskiewski“ nastrój, polegający na poczuciu moralnej i kulturalnej wyższości Polaków nad Rosjanami, na niechęci utrzymywania z nimi kontaktu towarzyskiego, na pogardzie dla ich „azjatyckiego rozchlebiania psychicznego“. Momenty te najsilniej występują w nowelach „Bitwa narodów“ i „Tam, gdzie ostatnia świeci szubienica“... — szczególnie w tej drugiej

przeciwstawia autor z podkreśleniem poczucia wyższości psychiki swego narodu — zachowanie się w obliczu śmierci Polaków, a Rosjan.

W „Przedwiośniu“ (w pierwszej części „Szkłane domy“) mamy świetnie odтворzone najbardziej charakterystyczne elementy i momenty rewolucji rosyjskiej i wpływ, jaki wywierają na psychikę ludzką. Najgłębiej i najbardziej sugestywnie ujmując i odtwarzając rewolucję rosyjską Strug w powieści „Mogila nieznanego żołnierza“, odmalowując z wielką siłą artyzmu wszystkie okropności tej strasznej epoki. Stwarza też Strug dwie wspaniałe sylwetki Rosjan, pomników wprost typy przedstawicieli tego narodu w naszej literaturze: dwu komisarzy bolszewickich: Szapkowa, dobrodusznego, poczciwego, duszę szeroką, rozlewną, ale nie głęboką... inteligencję mierną; i Simonowa, człowieka o nadzwyczajnej inteligencji, subtelny artystę, a zarazem wyrafinowanego sadyzę — kata...

Oprócz tych trzech prawdziwych pereł

baletystycznych, odtwarzających rewolucję rosyjską, roi się w literaturze polskiej od powieści, poruszających ten temat. Zaczyna o rewolucję i o wojnę domową Goetel w powieści „Kar—chat“, świetną znajomością społeczeństwa rosyjskiego przed wojną i w czasie rewolucji odznaczają się Szpyrkówna w mało wartościowej pod względem artystycznym powieści „Wielki cham“ i Kleszczyński („Białe noce“). Nadzwyczaj sympatyczną postacią Rosjanina, człowieka rozsadanego bujną siłą żywotną i nadmiarem indywidualizmu, stworzył Piotr Choynowski w powieści „Młodość, miłość i awantura“, — doskonałym i inteligentnym zastosowaniem baletystyki awanturniczej typu dumas'owskiej do naszych czasów: czasów wojny i rewolucji.

W przeciwieństwie do literatury rosyjskiej (sowieckiego pisarza Babla „Konarmia“) polska nie stworzyła artystycznego pomnika walk polsko-sowieckich w r. 1920; nie jest nim „Pożoga“ Kossaka-Szczuckiej, ani tem mniej sztuka Siero-

szewskiego „Bolszewicy“ czy powieści Germana „Iwonka“ i „Skrzydła“.

Tematy rosyjskie poruszają w powieściach historycznych Wyrzykowski („Moskiewskie gody“) i Kossak-Szczucka („Złota wolność“); — w egzotycznych Jerzy Bandrowski i F. A. Ossendowski. Ten ostatni zdobył światowy rozgłos swymi książkami „Przez kraj zwierząt, bogów i ludzi“ i „Lenin“. Interesowała się tematami rosyjskimi i poezja („Świętożar“ Tuwima, „Do psów bolszewików“ Stojanowskiego).

„W stopniu może większym, niż w zakresie literatury pięknej — interesują się Rosją i związanymi z nią kwestiami pisarze polscy na terenie publicystyki, literatury politycznej, podróżniczej i wojennej, — że wymienimy rozdziały, poświęcone Rosji w książce Dmowskiego „Świat polowyjny a Polska“ i książkę Bersona „Otmara, Nowa Rosja“ — to w zakresie polityki; w zakresie wojskowości Sikorskiego „Nad Wisłą i Wkrą“; z opisów zaś wrzeń z podróży do Z.S.S.R.: Stojanowskiego „Moja podróż do Rosji“, Janty-Polczyńskiego „Wzdłuż i wszerz przez Z.S.S.R.“, Błaszyńskiego „Więcej prawdy o Sowietach“.

(p. t.)

Tulipany i hiacynty przeciw gruźlicy

Ciekawe doświadczenia polskiego lekarza. — Rośliny karmione prątkami gruźliczymi. „Gruźlicza sałatka“

W walce z gruźlicą, — tym najstraszniejszym, ukrytym wrogiem ludzkości, — wysiłki nowoczesnej terapii idą przede wszystkim w kierunku uodpornienia ustroju ludzkiego przeciw zakażeniu, — podobnie jak to się dzieje przy ospie, tyfusie, dyfterji itp.

Dotychczasowe próby i eksperymenty, przeprowadzane na zwierzętach, — w szczególności prace prof. Calmette'a, dowodzą, że zasadniczo jest rzeczą możliwą wyprodukowanie odpowiedniej surowicy, zawierającej swoiste antytoksyny.

Obecnie badania te przeniesiono i na świat roślinny. Dr. Włodz. Martiniec w Komarowie Lubelskim zamieścił w „Polskiej Gazecie Lekarskiej“ bardzo interesujący artykuł na temat swych doświadczeń w tej dziedzinie. Wychojąc z założenia, że — podobnie jak świat zwierzęcy — reaguje również i świat roślinny na działanie rozmaitych

zaraków chorobotwórczych, przeprowadził odpowiednie doświadczenia na kwiatach hiacyntów i tulipanów. Wybór padł na te właśnie gatunki kwiatów z tego względu, że medycyna chińska od dawna już stosuje kwiaty cebulkowe jako lekarstwo w chorobach płucnych.

Wybrane cebulki hodował dr. Martiniec w ziemi uprzednio wyjałowionej, a zakażonej znaczną ilością prątków gruźliczych. Rośliny rozwijały się na tem podłożu słabiej i wolniej, niż normalnie, robiąc wrażenie karłowatych.

Z rozwiniętych już i rozkwitających roślin, należycie oczyszczonych, wycisnął dr. M. pod prasą sok, który po rozcieńczeniu tzw. roztworem fizjologicznym zastosował następnie do zastrzyków, — przekonawszy się uprzednio o zupełnej nieszkodliwości tych iniekcji.

Szereg prób, przeprowadzonych na chorych na gruźlicę dał bardzo ciekawe wyniki. U ciężko chorych następował już w czasie kuracji spadek temperatury

do normalnej, przybytek wagi oraz ogólne polepszenie.

Te same zasadniczo objawy dały się zauważyć u łżej chorych: obniżenie temperatury, przybytek na wagę, zmniejszanie się ilości płocwin. Co więcej spośród dziewięciu chorych leczonych wyłącznie tylko temi zastrzykami, u pięciu znikły w płwocinie prątki gruźlicze.

Jeszcze lepsze wyniki osiągnął dr. M. w leczeniu gruźlicy skóry, czyli tzw. „wilka“: po 25 zastrzykach nastąpiło zupełne wygojenie w jednym wypadku, — w drugim wydatne polepszenie.

Uzyskane przez dr. M. wyniki — wobec szczupłego materiału — nie pozwalają jeszcze na wysnuwanie ostatecznych wniosków. Trzeba by tego rodzaju doświadczenia prowadzić systematycznie przez czas dłuższy, i to nie ograniczając się na tych dwóch tylko gatunkach roślin. Trzeba by stwierdzić, które specjalnie części rośliny reagują najsilniej na wprowadzanie do nich zarazki, jaki jest skład chemiczny wytwarzanych przez roślinę antytoksyn itp.

W każdym razie doświadczenia, które przeprowadził dr. Martiniec, otwierają terapii i farmaceutyce nowe zupełnie, a szerokie horyzonty. Mimowoli nasuwa się dalszy wniosek: czy nie dałoby się tą drogą „uodpornić“ przeciw gruźlicy roślin, stanowiących pożywienie człowieka? A gdyby tak było, wówczas medycyna znalazłaby nowy skuteczny środek obronny i leczniczy w walce z gruźlicą. Systematyczne bowiem spożywanie takich „uodporniowych“ jarzyn, takiej „sałatki gruźliczej“ (jeśli tak się można wyrazić) zwiększałoby stale a wydatnie odporność organizmu, dotkniętego lub zagrożonego tą chorobą.

Oczywiście wymaga to dużego nakładu pracy, czasu i gotówki; dlatego celem dalszego prowadzenia tych badań koniecznym byłoby utworzenie specjalnego instytutu, wyposażonego we wszystkie potrzebne środki

(k. r.)

Ciekawostki ze świata

Mechaniczny tłumacz

Jeżeli prawdziwe są wiadomości, które pojawiły się w gazetach amerykańskich i zachodnioeuropejskich, w Ekwadorze udało się skonstruować „robota“, który ma służyć za tłumacza 9 języków. Arcydzieło techniki miał wymyślić dr. Oktawio Cordero, ale nie dożył wykonania swego planu, a robota wykonał brat jego Alfonso. Mechaniczny tłumacz zbudowany jest z masy papierowej, cyny, drzewa, sprężyn stalowych i gumy. Do pracy zabiera się, pociśnięty za ramię. W swym wnętrzu mieści po 2 tysiące odpowiadających sobie słów w 9 językach. Można go łatwo transportować. Wewnętrzny mechanizm trzymany jest w najgłębszej tajemnicy i z tego powodu Alfonso Cordero nie opatentował nawet wynalazku.

Nowa sztuczka londyńskich złodziei

Złodzieje londyńscy zaczynają w ostatnich czasach często udawać urzędników policji. Oto wypadek, jaki zaszedł przed kilku dniami:

Do niejakiego Dawida Caplice w

dzielnicy Canning Town zgłosiło się trzech panów, którzy przedstawili się jako członkowie t. zw. Latającej Brygady policji. Oświadczyli przestraszonemu kupcowi, że wpłynęło przeciw niemu oskarżenie o niedozwolone przyjmowanie zakładów wyścigowych, i że muszą dwudzięć go do komisariatu. Caplice zapewnił o swojej niewinności, ale gdy „urzędnicy policji“ okazali się nieubłagani, zabrał pieniądze z kasy, zamknął sklep i wsiadł do ich auta. Po drodze jeden z nich nałożył na uszy słuchawki, przy pomocy których „detektywi“ odbierają przez telegraf bez drutu rozkazy ze Scotland Yard, a zdążywszy je, oświadczył „przełożonemu“, że otrzymali rozkaz jechać natychmiast do Walthamstow. Zaczęto naradzać się, co zrobić z „więźniem“. Ostatecznie zażądano od niego zabezpieczenia, że zgłosi się dnia następnego, a nie zważając na jego protesty, zabrano mu pieniądze, poczem wysadzono go z samochodu i odjechano pośpiesznie. Caplice podążył wprost do Scotland Yard, gdzie potwierdzono jego podejrzenie, że padł ofiarą złodziei. Sprawa zajęła się prawdziwa Latająca Brygada.

Medjolańska „La Scala”

La Scala... Magiczne słowa, szczyt marzeń każdego śpiewaka czy śpiewaczki, zaczarowane wrota, otwierające artystę szeroko wrota do światowej sławy Jedyny na całym świecie teatr, przy wymianianiu którego nie trzeba dodawać żadnych więcej komentarzy: poprostu „La Scala”... bo czyż znajduje się choć jeden człowiek kulturalny, któryby nie wiedział, że idzie tu o słynny teatr w Medjolanie?

Niestety — jak mało jednak jest tych „wybranych”, którzy mogą sobie pozwolić na wyjazd do Włoch, by za jakie 20 lub 30 lirów zdobyć — nie pierwszorzędną nawet — miejsce w tym wyjątkowym teatrze i rozkoszować się zarówno śpiewem najlepszych artystów, jak i muzyką, czy wspaniałą, bajkową wystawą!

Jakże zatem szczęśliwym i na czasie był pomysł „Polskiego Radja” transmitowania na całą Polskę choć niektórych oper, wystawianych w obecnym „stagione” w medjolańskiej „La Scala”! Ile niezapomnianych wrażeń pozostawia każda taka audycja, której równocześnie słucha — tam, na miejscu, — wyborna publiczność, zapelniająca szczerze olbrzymi sześciopiętrowy gmach opery!

Zajrzyjmy na chwilę za kulisę tego sanktuarium muzyki...

„Renesans” — jeśli tak można się wyrazić — „Scali” datuje się od roku 1921, tj. od chwili powstania tzw. „Ente autonoma”. Od tego roku po dzień dzisiejszy wystawiono na jej deskach zgórą 150 oper, wśród których oczywiście prym wiodą kompozytorzy włoscy, z Verdim na czele. Tegoroczne „stagione” otwarto dnia 26 grudnia z. r. wystawieniem „Nabuchodonozora”, poczem w krótkich odstępach czasu szły następne spektakle.

O przepychu wystawy świadczy fakt, że np. w „Nabuchodonozorze” brało udział nie mniej jak 460 osób, z czego 14 rycerzy, strojnych w złociste zbroje, wjeżdżało na scenę na koniach. „Trubadur” wymagał udziału „tylko” 158 artystów.

Niefrudno wyobrazić sobie, jak wygląda tam garderoba teatralna: 30 tysięcy kostiumów, wartości dziesięciu milionów lirów, spoczywa w 750 olbrzymich szafach. Wszystkie starannie oczyszczone, osłonięte pokrowcami... najdokładniej opisane, zapisane i nawet naszkicowane. Bo w „La Scala”, prowadzi się drobiazgową ewidencję i kontrolę: pięć olbrzymich foljałów, metrowej blisko wysokości zawiera szczegółowy inwentarz kostiumów. Każdy kostium jest tam opisany, — na marginesie zaś widnieje jego szkic, celem uniknięcia możliwych pomyłek.

Oczywiście uzupełnienie samego kostiumu stanowią wszystkie inne szczegółły stroju, od peruk i rękawic począwszy, a na broni, pasach i bucikach skończywszy.

Zwłaszcza imponująco wygląda „zbrojownia” ze swymi złotymi hełmami, pancerzami, lancami, tarczami i całym sprzętem wojennym.

W parze z tym przepychem kostiumów idą też dekoracje i efekty świetlne. Dwadzieścia potężnych lamp projekcyjnych, każda na tysiąc watów na proscenjum, cztery projektory umieszczone w górze sceny, wreszcie trzydzieści dalszych projektorów, rozmieszczonych

po bokach, zalewają scenę całym morzem olśniewającego światła, pozwalając na wydobywanie wszelkich możliwych efektów. Jedna próba generalna z „Nerona” pożarła światło 1,564 tysiące lampek elektrycznych!

A dekoracje? Olbrzymie płachty płótna, wysokie na 12 metrów, a szerokie na 18 do 22 metrów, przyozdobione malowidłami pierwszorzędnych mistrzów pendzla, zamieniają scenę w jakąś feerię, przyczyniając się jeszcze do spotęgowania niezapomnianego wrażenia. Że „La Scala” dysponuje również i sceną obracalną, — zbyteczne dodawać.

Jasną jest rzeczą, że zmontowanie spektaklu w tych gigantycznych rozmiarach wymaga niesłychanej staranności, bacznej kontroli i znakomitego zgrania

całego zespołu.

Czuwa nad tem cały sztab mechaników; czuwa dyrektor, a przede wszystkim czuwa niezmordowany inspektor sceniczny, sam długoletni artysta dramatyczny. Nie ujdzie jego uwagi żaden najdrobniejszy szczegół; każdy z artystów, przed wyjściem na scenę, musi poddać się jego kontroli. Inspektor listruje go dosłownie od stóp począwszy aż do peruki — i biada aktorowi, jeśli odkryje w jego kostjumie jakikolwiek mankament!

A dodać należy, że każdy artysta — z chwilą gdy wchodzi na stałe w skład trupy teatralnej, — musi poddać się bardzo skrupulatnym „pomiarom”: pracownie teatralne przygotowują mu natychmiast na miarę potrzebne kostjumi,

buciki, kapelusze, peruki i rękawiczki.

Nic dziwnego tedy, że „La Scala” odzyskała dziś z powrotem tytuł pierwszej opery świata. Odzyskała go dzięki olbrzymim wysiłkom, dzięki imponującemu swemu urządzeniu i dzięki rzetelnej pracy całego zespołu organizacyjnego.

Że zaś w pracy tej nie ustaje ani na chwilę, że na deskach jej sceny przewijają się najslawniejsi artyści całego świata, a przy pulpicie kapelmistrzowskim stają najwybitniejsi kompozytorzy i dyrygenci, — zatem produkcje jej stoją na najwyższym, niedościgłym poziomie, dając wspaniałe świadectwo artystycznej kultury Włoch, tej ojczyzny najlepszych śpiewaków i najgenialniejszych kompozytorów.

(Lucy)

List z Paryża

Wystawa obrazów Ingres'a. — Zelektryfikowane dzwony Notre Dame de Paris. — Wielkanoc i pierwszy kwiecień. — Skąd wzięły się ryby primaaprilisowe. — O kulturę przy stole. Nagroda Couronne'a. — Handel bronią, sądy przysięgłych i zbrodniczość

Prywatne galerie sztuki, których Paryż ma pokaźną ilość, urządzają co pewien czas wystawy, poświęcone czy to poszczególnym artystom, czy szkołom i grupom. Wystawy takie przyczyniają się bardzo do znajomości dorobku dawniejszych czasów wśród publiczności i wpływają poważnie na jej gust. To też rząd popiera te przedsięwzięcia, a wszelkie instytucje i muzea chętnie udzielają swej pomocy. Gdy galerja Seligmana na Rue de la Paix postanowiła zebrać obrazy Ingres'a, malarza, którego działalność wypełnia mniej więcej pierwszą połowę XIX wieku, oraz stworzonej przez niego szkoły portrecistów, Luwr wypożyczył chętnie 12 płócien Ingres'a. Wystawa daje wyborny przegląd rozwoju tego artysty, który początkowo był pod wpływem David'a, później z wiekiem stawał się coraz samodzielniejszym, aż stworzył własną metodę i przekazał ją szeregowi uczniów jak Chassériau, Flandrin i Mottez. Wystawę utworzył osobiście premier p. Doumergue. Dochód przeznaczony jest na cele dobroczynne.

Słynne dzwony katedry Notre-Dame, jakkolwiek liczące po parę setek lat, przystosowały się wreszcie do dzisiejszych obyczajów. Cztery z nich porusza obecnie elektryczność. Innowacji nie poddał się jednak największy, pochodzący z czasów Ludwika XIV. i ważący 15 ton, podczas gdy żaden z tamtych nie przekracza ciężaru dwóch ton. Przyczyna jest bardzo prozaiczna — brak funduszy.

Fabrykanci czekolady i cukiernicy skarżą się tego roku, że Wielkanoc wypadła równocześnie z dniem 1 kwietnia. Z obu dniami połączony jest obyczaj posyłania znajomym wyróbów czekoladowych, tylko na 1 kwietnia są to ryby, wewnątrz puste, a czasem ukrywające w łonie jakiś figiel, na Wielkanoc jaja. Oszczędni Francuzi skorzystali z zejścia się obu dni i przeważnie poprzestawali na jajach. Przy sposobności warto przypomnieć, skąd wziął się obyczaj zwodzenia bliźnich na **Prima Aprilis** i francuskie ryby primaaprilisowe. Jedno i drugie datuje się z drugiej połowy wieku XIII, i pozostaje w związku z zastąpieniem kalendarza juljańskiego gregoriańskim. Poprzednio Nowy Rok wypadł 1 kwietnia, a po jego przeniesieniu na 1 stycznia ustalił się obyczaj płaćania psot w pozbawiony dawną świetność dzień wiosenny. Rybę wzięto z Zodiaku, gdyż w kwietniu słońce wychodzi z pod znaku ryby.

Francja bardzo dba o ruch turystyczny, a jakkolwiek kryzys finansowy do-

statecznie wyjaśnia pewne osłabienie jego tempa, niektórzy dopatrują się przyczyny w popuszczeniu się po wojnie form towarzyskich. Cudzoziemcy przyjeżdżali nieraz poprostu po to, aby przypatrzeć im się zbliska i nabrać oglady. Tymczasem dziś opuszczają Francję rozczarowani pod tym względem i zgorszeni. Szczególnie razi ich nieraz zachowanie się tubylców po restauracjach. Nerwowe tempo życia wojennego sprawia, że zapominają oni o estetyce jedzenia. Stąd rozpoczęto w prasie kampanję propagandową za powrotem do dawnych, wykwinnych manier. Musiały one rzeczywiście w znacznej mierze zaniknąć, jeżeli trzeba w artykułach zwalczać mlaskanie, hałaśliwe gryzienie, używanie noża do ryby, nieestetyczne użycie wykalacek itd. Autorzy wzywają publiczność, aby na śniadania i obiady poświęcała więcej czasu, gdyż o dobrych obyczajach nie pamięta się za zwyczaj przez pośpiech.

Jedną z cech życia francuskiego stanowią nagrody, przyznawane przez państwo i różne fundacje za najrozsądniejsze zasługi. I nie należy sobie wyobrazić, iż otrzymują je jedynie literaci i artyści. Są tzw. nagrody cnoty, które otrzymują panienki, znane ze skromności i z pracy dobroczynnej. Do najoryginalniej pomyślanych należy „nagroda Couronne'a” (**le Prix Couronne**). Ufundował ją Achille Couronne, długoletni sekretarz generalny ministerstwa rolnictwa, zapisując na ten cel cały swój majątek. Nagrodę otrzymuje żona robotnika, najlepiej prowadząca gospodarstwo domowe. Warunkiem jest, że musi złożyć wieniec (**une couronne**) z kwiatów polnych na grobie fundatora.

Francja wprowadziła wreszcie pewne ograniczenia w handlu bronią. Jest to niewątpliwie w związku z wypadkami lutowymi i wogóle z zastrzeżeniem się antygonizmów politycznych, ale też i z zaskakującym wzrostem zabójstw. Swego czasu wstrząsnęła Francją wiadomość o zastrzeleniu prefekta departamentu **Bouche du Rhône** przez jego kochankę, Germaine Huot. Obecnie odbyła się rozprawa. Oskarżona broniła się, twierdząc, że wymierzyła do pana Couseret za żartu, a strzał był przypadkowy. Sąd skazał ją na dwa lata więzienia — za nieostrożność za dużo, za morderstwo za mało.

Łagodność sądów przysięgłych wobec tzw. **crimes de passions** powoduje zabójstwa z blahych przyczyn. Oto dwa ostatnie wypadki paryskie:

Mał miał zwyczaj, wracając z biura, wstępować do kawiarni i spóźniał się nieraz na obiad. Żona nieraz robiła mu

z tego powodu gorzkie wymówki. Pewnego dnia, podejrzewając, że znowu nie poszedł prosto do domu, udała się do kawiarni i zastała winowajcę, grającego w bilard. Zażądała, aby natychmiast z nią poszedł, a gdy oświadczył, że musi skończyć partję, wpakowała mu w głowę kulę rewolwerową.

Lokator, zajmujący pokój w kamienicy, skarżył się parokrotnie na sąsiadów, u których bez przerwy grało radio. Twierdził, że jest rzeczą zarządu domu zapobiec hałasom. Raz poszedł do dozorcę i ażał od niego, aby interweniował u zwolenników radja, a spotkawszy się z odmową, położył go na miejscu trupa.

W jednym i drugim wypadku byłoby ocalało życie ludzkie, gdyby nie broń po ręką. Rusznikarze zapobiegli już nieraz nieszczęściom w tym stylu, nabijając sprzedawane ludziom nerwowym i okazującym wzburzenie ślepymi nabojami. Ale czy nie demoralizują społeczeństwo także zbyt łagodne wyroki sądów?

N. P.

Czarne wilki w Bułgarii

W Bułgarii jest dużo wilków i w czasie zimy robią one duże szkody, tak że nawet wyznaczono nagrodę pieniężną za każdą zabita sztukę. Do szczególnie dotkniętych tą plagą obwodów należy Burgos. Nigdy jednak nie widziano tam czarnych wilków, które wogóle są na świecie rzadkością, a w Bułgarii były nieznane. Parę lat temu rozeszła się pogłoska że się pojawiły, ale przedsięwzięta obława tego nie potwierdziła. Tego roku jednak we wsi Urum Keui pięć czarnych wilków spadło na trzode owiec i kilka z nich rozszarpały. Widziało je kilku ludzi, m. in. także strażnik lasów państwowych.

Paryskie kioski

Podczas rozruchów paryskich zniszczono dużo kiosków ulicznych, w których sprzedawano gazety. Jak wiadomo, Francuzi są bardzo konserwatywni w porównaniu z innymi narodami i kioski te, zbudowane z drzewa, nie zgażały się z nowoczesnym charakterem ulic. Sprzedawcy mieli dużo pracy z wywieszaniem co rano gazet i zdejmowaniem ich wieczorem. Szczególnie podczas słyty można było podziwiać ich cierpliwość. Tylko na rogu Rue Royale, naprzeciw kościoła Madeleine był od pewnego czasu kiosk żelazny, zamykany. Obecnie prasa wzywa do zastąpienia zniszczonych bud podobnemi.

Nazwiska angielsko-żydowskie

Na łamach londyńskiego tygodnika *The Sunday Times* toczy się w rubryce listów do redakcji nadzwyczaj pouczająca dyskusja na temat nazwisk żydowskich o angielskim brzmieniu. Jest rzeczą ogólnie wiadomą, iż Żydzi osiedli w Anglii nadając swym nazwiskom formę angielską, a najchętniej przybierają angielskie, zbliżone do własnych. Wogóle zacierają chętnie swe pochodzenie, przynajmniej było tak doniedawna. Obecnie ruch sionistyczny zrodził dumę narodową, a polityka W. Brytanji, zainicjowana deklaracją Balfoura, a zmieniająca się na niekorzyść Żydów dopiero w ostatnich czasach, natchnęła ich pewnością siebie, stąd niektórzy zaniechali uprawianego długo systemu mistyfikacji. Z tem wszystkiem prawdziwa ilość Żydów w Anglii nie jest znana i w urzędowej statystyce spotykamy cyfry zbyt niskie. Bo po czem poznać Żyda, który zmieni nazwisko na rdzennie brytyjskie, a przy spisie ludności w rubryce „religja” napisze *agnostic* (bezwyznaniowy)?

Jest rzeczą widoczną, że narodowi wybranemu bynajmniej nie zależy na tem, aby jego siła liczebna na terenie W. Brytanji była znana. Encyklopedia brytyjska podaje, że w r. 1914 wynosiła ona 250.000, w przeglądzie osiedlenia Żydów po wojnie wogóle pomija Anglię...

Autor książki antysemitki „Stary dżentelmen hebrajski” T. W. Crosland próbował statystyki wedle nosów i w sobotę rano 14 stycznia 1922, idąc od Times Book Club do roku Piccadilly (a więc tylko kilkaset kroków) i u-
względniając tylko mężczyzn, naliczył 217 Żydów. Ta próba daje pewne wyobrażenie o sile żywiołu żydowskiego w Londynie. Z osobistego doświadczenia mogę stwierdzić, że trudno tam ogolić się u aryjczyka, kupić tytoniu u aryjczyka — pewien mój znajomy twierdził, iż w Sądny dzień skazany był na niepalenie, bo nie zaopatrzył się naprzód, — a po antykwariach najczęściej można rozmówić się po polsku lub po rosyjsku.

Wróćmy jednak do listów do redakcji *Sunday Times*. Punktem wyjścia było nazwisko Gordon, które najwidoczniej Żydzi sobie upodobałi. Mr. Bacon Phillips uważa je za import ze Szkocji. Mrs. Gertrude Landa, z domu Gordon, zbija tę teorię — niewątpliwie słusznie, gdyż w Szkocji prawie zupełnie niema Żydów. Sądzi ona, że jeżeli zaszedł ów import, to musiał iść przez Rosję. Najwidoczniej uważa za rosyjskie miasto Grodno, z którego nazwisko mogło powstać przez *Metathesis*. Możliwe jest również, iż utworzono je od zawodu „gordnera” lub „gradnera” tj., jak mówi. Mrs. Landa, wytwórcy pończoch. Trzecia teoria cofa się do czasów Piotra W., w którego armji służyło dużo Szkotów. To tłumaczyłoby również rozpowszechnienie między Żydami innego szkockiego nazwiska Kelly — które prawdopodobnie jednak powstało z Cohn.

Mr. H. S. Ashton, autor książki „Żyd szczyty” nadesłał list, zasługujący na przytoczenie w całości:

„Pozwolę sobie zrobić przypuszczenie, że nazwisko Harris, które przyswoili sobie niektórzy Żydzi, jest prymitywnem zanglizowaniem Horowitza, a Hart pochodzi od Hertza. Zupełnie taksamo Lyons mógł powstać via Leon z Lewiego, Jam z Jakóba. Moss z Mojżesza Tree z Bauma, Roseberry z Rosenberga, Nutfield z Nussenbauma.

„Ileż w synagodze Żyd zawsze po-

zostaje Izaakiem, synem Lewiego, a zapomina się o odróżniającej nazwie narzuconej mu przez cywilizację europejską.”

Dodajmy parę uwag. Autor listu nie pierwszy wywodzi Mossa od Mojżesza, gdyż postać żydowską (nawiasem mówiąc, pochodzącą widocznie z obserwacji, a ujemną) spotykamy w powieści Thackeraya „Rodzina Newcome’ów” (1855). Lyons to nie byle kto — ojciec przywędrował z Rosji czy z ziem zabranych, a syn ma tytuł Sir i kilkaset tanich restauracji w Londynie (zatrudnia ponad 40 tysięcy kelnerów!). Listę Ashtona można wzbogacić: Salmon od Salomon (Salmon i Gluckstein jest to wielka firma, handlująca tytoniem i innymi towarami). Sam znałem Hirsta, który pierwotnie nazywał się Hirsch, a urodził się w Przemyślu. Miał na Southampton Row sklep z cygarami i papierosami

Mrs. Landa wymieniła w swym liście jako największą powagę na punkcie nazwiska Gordonów Dr. J. M. Bullocha, który wskutek tego wezwania zabrał głos w następnym numerze pisma. Oświadczył jednak, że choć wie dużo o Gordonach, nie może rozstrzygnąć kwestji, skąd wzięło się tylu Żydów tego nazwiska. Zwracał się o wyjaśnienia do samych Żydów, ale spotykał się z rozbieżnymi poglądami. Samuel Gordon, rodzony brat Mrs. Landa, sprzeciwił się teorii Gordona, oświadczając, że ok. r. 1500 żył w Madrycie żydowski uczoney Gordon. Tu należy zrobić uwagę, iż fakt ten nie musi odpowiadać prawdzie. Żydzi zachodni przywiązują wielką wagę

do pochodzenia i nie lubią przyznawać się, jeżeli wywodzą się od wschodnich, biednych Aszkenazim, to też niekoniecznie trzeba im wierzyć, gdy jako swych przodków wymieniają Sefardim. Wielki Disraeli twierdził, że jego protoplaści przywędrowali przez Wenecję z Hiszpanji, lecz szereg Żydów poważnie kwestjonował jego drzewo genealogiczne.

Bardzo ciekawą odpowiedź dał Bullochowi w r. 1921 sędzia Mayer Salzberger z Filadelfji. Wedle niego Żydzi w świecie anglosaskim mają predylekcję do nazwiska Gordon, ponieważ jest im nad wyraz droga pamięć lorda Jerzego Gordona.

Osobistość ta zyskała smutną sławę w r. 1780. W Izbie Gmin pojawił się był bill, uchylający najniesprawiedliwsze z ustaw, wymierzonych przeciw katolikom. Lord Gordon wszczął wówczas fi-natyczną agitację przeciw temu pierwszemu krokowi do równouprawnienia krzywdzonego długo odłamu narodu. Był to człowiek słabego umysłu, a pragnący popularności, jest rzeczą widoczną, że ktoś stał poza nim. Demagogia odniosła potworny skutek. Masowy pochód zbalamuconych tłumów pod gmach parlamentu doprowadził do rozruchów, które dzięki metom społecznym przybrały charakter rewolucji. Przez kilka dni motłoch był panem Londynu, palił kaplice katolików i łupił ich mieszkania. Nie obeszło się naturalnie bez licznych ofiar w ludziach. Do przywrócenia porządku trzeba było ostatecznie użyć 10 tysięcy wojska.

Po stłumieniu ruchu lord Gordon do-

stał się do więzienia, ale po jakimś czasie odzyskał wolność. I teraz zaszedł fakt, rzucający światło na działalność naiwnego fanatyka. Przeszedł on wroczyście na mozaizm, przybierając nazwisko Izrael Bar Abraham G. Gordon. Z chrześcijańskiego imienia, George zostało wstydlive G...

Postać ta jest między Żydami angielskimi popularna. Niejaki Izrael Solomons zebrał szereg jego portretów — kolekcja ta jest dziś w Ameryce, — w r. 1913 wygłosił w Angielskiem Towarzystwie Historycznem, a później wydrukował pracę o „nawróceniu” lorda Gordona.

Bulloch kończy swój list stwierdzeniem faktu, że rosyjscy i polscy Żydzi bardzo często osiadają w Anglii pod nazwiskiem Gordon, Gordan lub Gordyna.

Sprawa, skąd to się wzięło, jest dla nas obojętna. Warto było jednak o niej wspomnieć ze względu na żydowski obyczaj wprowadzania w błąd nazwiskami. Możemy cieszyć się, że mamy język, który to utrudnia. Jest faktem, że na dziesięciu Żydów, przybierających nazwiska, które wydają się im rdzennie polskimi, zazwyczaj ani jeden tak nie wybierze, aby od razu nie było można pазnać się na tej maskaradzie.

W Anglii jest inaczej. Ludzie, przyzwyczajeni do mieszanki wszelkich narodów, naogół nie orientują się, jak Crosland, wedle cech fizycznych i nie odróżniają nazwisk, choćby tak niedwuznacznych, jak Landa (tj. Landau) lub Guedallah (od Gedalego — jest obecnie znany literat tego nazwiska). Wierzą w cyfry Encyklopedji Brytyjskiej. Powoli jednak zachodzi zmiana, do której ogromnie przyczyniły się wypadki niemieckie.

Władysław Tarnawski

Symboliczna gałązka oliwna

Z powstaniem Aten związana jest piękna stara legenda. Założyciele miasta postanowili mianowicie oddać je pod opiekę tego boga, który obdarzy ludzkość najpiękniejszym i najszybciej podarunkiem.

Do zawodów stanął Neptun i Pallas Atene. Neptun uderzył swym trójzębem w ziemię — i oto wyskoczył z niej piękny rumak. Gdy zaś Pallas dotknęła ziemi swą włócznią, — wyrosło drzewo oliwne. Oceniono od razu wyższość tego ostatniego daru — i miasto oddano pod opiekę Pallas-Ateny, nadając mu jej nazwę.

Legenda ta ma swoje ukryte znaczenie. Faktycznie bowiem drzewo oliwne było od wieków nieocenionem dobrodziejstwem dla Grecji. Niewymagające, rośnie na każdym, nawet najbardziej skalistym gruncie, dając pożądaną cień i masę owoców o wysokiej wartości spożywczej.

A jakież różnorodne ich zastosowanie! Atleci nacierali sobie oliwą członki, dla nadania im sprężystości; kobiety używają od niepamiętnych czasów oliwy do celów kosmetycznych.

Oliwki stanowią ulubiony przysmak, a czysty olej oliwny odgrywa pierwszorzędną rolę w sztuce kulinarnej ludów południowych.

Nowoczesna wiedza nie tylko potwierdza w całej pełni tę od wieków ustaloną opinię o wysokiej wartości spożywczej i leczniczej oliwy, — ale ją i wyjaśnia,

na podstawie badań higienistów i lekarzy.

Jak wiadomo, w skład normalnego pożywienia człowieka wchodzi — między innymi składnikami — pewna ilość tłuszczu, określana na 60 gramów dziennie. Spożywamy tłuszcze zwierzęce (smalec, masło) albo tłuszcze roślinne (oliwa). Te ostatnie mają tę wyższość nad smalcem czy nawet masłem, że ulegają niemal w całości (bo 98—99 proc.) strawieniu, — nie pozostawiają zatem w organizmie ludzkim żadnych części niestrawionych. Co więcej, oliwa ulega strawieniu i asymilacji w stosunkowo bardzo krótkim czasie, przy minimalnym wysiłku całego aparatu trawienia.

Znajduje też oliwa szerokie zastosowanie w przyrządzaniu konserw, sałat, czy sosów. Natomiast jako stała przyprawa kuchenna w miejsce masła czy smalcu używana bywa tylko na południu, — gdzie zawsze łatwo o produkt świeży, a ceny niskie umożliwiają stosowanie jej w każdym domu.

Posiada jednak oliwa i inne jeszcze właściwości: higieniczno - lecznicze. Znakomicie ułatwia trawienie i reguluje jego funkcje. Ważniejszem jeszcze jest jej działanie na woreczek żółciowy, którego sekrecja wzrasta wydatnie pod wpływem oliwy.

Doświadczenia lekarzy wykazują, że oliwa jest znakomitym, swoistym niemal lekiem na tak przykrą i bolesną chorobę, jaką są kamienie żółciowe. Mały kieliszek czystej oliwy rano naczczno i wie-

czorem, kładąc się do łóżka, przyczynia się znakomicie do złagodzenia bólów.

Ale i do użytku zewnętrznego bywa oliwa w lecznictwie niejednokrotnie stosowana, we formie okładów łagodzących ból, przy oparzeniach itp. wreszcie używa się jej w połączeniu z rozmaitymi preparatami leczniczymi (kamfora, insulina itp.) do zastrzyków podskórnych.

Od niepamiętnych czasów gałązka oliwna stała się symbolem pokoju. Oczywiście przez metaforę: wiadomo przecież, że oliwa łagodzi i uspokaja wzburzone fale morskie. Ale i indywidualnie wywiera oliwa dobroczynny, łagodzący wpływ na organizm ludzki, a spożywanie jej przynosi człowiekowi zdrowie, energię, uśmierza bóle i nadaje gibkość całemu ciału.

„Przyjaciółką pokoju” nazywa już Wergilusz oliwę w swoich „Georgikach”, zalecając jej uprawianie... Faktycznie też jest drzewo oliwne nie tylko symbolem pokoju, ale i nieocenionym przyjacielem człowieka.

(kr.)

— Wedle najnowszej statystyki dochody kinoteatrów amerykańskich wzrosły w ciągu pierwszych miesięcy b. roku o ogromną sumę 2 i pół miliona dolarów tygodniowo. Dowodziłoby to, że kryzys został przełamany, przynajmniej na drugiej półkuli...

— H. Ford przystępuje do produkcji własnych filmów, obejmujących kronikę aktualnych wydarzeń.